

aleksander świętochowski

klub
szachistów



Aleksander Świętochowski

Klub szachistów



Fundacja FESTINA LENTE

I

— Wszystkie te opisy — zauważył prezes — zdradzają zbyt widocznie podstęp. Idea naszego stowarzyszenia zaczęła już przesiąkać na zewnątrz, przez tajemnicę... Coraz mniej ludzie wierzą, iż tworzymy klub szachowy i usiłują przeniknąć do prawdy. Ci panowie, których spowiedzi poznaliśmy przed chwilą, skłamaczali je albo w całości, albo w znacznej części, aby tylko wkraść się między nas i zużytkować niegodnie nasze materiały.

— Nawet przypuściwszy, że te wyznania są szczere — odezwał się jeden z członków — nie dają one nam żadnej wartości psychologicznej. Bo chociażby, na przykład, autor życiorysu, opatrzonego godłem: „Lisia skóra” rzeczywiście okpiwał swoją siostrę w grze kręglowej lub udając chorego, wdziewał włosienicę, ażeby ją dostrzegła pobożna ciotka, to czyż on pod grozą ujawnienia tych faktów cofnie się przed niedyskrecją? Zresztą powinniśmy przesiewać materiał i zbierać tylko grubszy, gdyż inaczej nagromadzi nam się kupa zwyczajnego piasku, z którego nauka nie wyciągnie żadnej korzyści.

— Oba zaznaczone tu względy — rzekł prezes — są tak ważne, że nie możemy ich ani chwili tracić z uwagi i musimy czynić wszystko, co tylko zabezpieczyć zdoła interes członków stowarzyszenia i jego cel. Jestem bogaty, nie posiadam ani rodziny, ani związków, od których byłbym zależny, więc w najgorszym wypadku grozi mi może tylko chwilowa przykrość. Inna sprawa z wami. Gdyby jakikolwiek nicpoń odkrył tajemnice waszego życia...

Z kilkunastu ust dobył się okrzyk zgrozy i przerażenia, na niektórych twarzach malowała się rozpacz, a w niejednej duszy zadrgnął żal za utraconym spokojem.

— Ja dostałbym się między dwa zębate koła — zawołał tęgi brunet, który mógłby barkami most podpierać. — Żona, która wie, że jej posag stanowi podstawę mojego bytu i że do żadnej pracy nie jestem zdolny, wraz ze swą matką poddałaby mnie torturze. A jeżeli jedna zła żona i jedna zła teściowa wyrównywają okrucieństwem miliona diabłów, to dwie złe Żydówki w tych rolach przewyższają całe piekło.

— W potrzebie ty mógłbyś przenosić rzeźnikom ćwiertowane woły — szepnął nikły blondyn z cerą i postacią wyssanego szparaga — ale co ja bym zrobił, gdyby mi moja piekarka wypowiedziała miejsce męża? Wątpię nawet, czy wypuściłaby mnie gładko. W koronkach i brylantach, sprawiając rozkosz zwierciadłu, w którym odbija się jej elegancka figura, woła do mnie: „Przypatrz się, wymoczku, jaką masz żonę!”, przy czym rzuca w górę zaciśniętą pięść. Możecie sobie wyobrazić, jaki ona zrobiłaby z tego kułaka użytek przy rozstaniu.

— Nędza, pięść, kij, sztylet, diable pazury —
wszystko to są żądła i ukłucia komarów w porównaniu
ze straszną chłostą, przez jaką przepuszcza męczyzną
kobięcy język — mówił siwawy i podmarszczony
męczyznik. Nie znam okrutniejszego narzędzia i
bardziej morderczej broni. Może ocaliłbym jakąś
odrobinę odwagi wobec lwa, bandyty, orkanu; ale gdy
moja żona zacznie mówić, truchleję jak pisklę.
Najcięższe plagi wlewają otuchę nadzieją, że się kiedyś
skończą, a jej gadanie nie kończy się nigdy. Chociaż
Noe wiedział o gniewie i mściwości Jehowy, wypuścił z
arki gołębicę dla przekonania się, czy wody potopu nie
opadły, bo nie wątpił, że Bóg-męczyzna kiedyś karać
przestanie. Tymczasem potop słów mojej żony trwa już
od ćwierci wieku i tak zalewa wszystko koło mnie, że
nawet koliber nie znalazłby miejsca na odpoczynek, a
już o gałązce oliwnej nie ma co wspominać. Artretyzm,
ból zębów, rak, astma, wszystkie choroby dają swym
ofiaram przerwy wytchnienia, tylko język kobiety nie
ustąpi ani chwili. Nie to mnie przeraża, że moja żona
mogłaby się czegoś dowiedzieć, ale to, że uzyskałaby
przyływ do olbrzymiego potoku swej mowy. Na litość,
bądźmy ostrożni!

— O, bądźmy ostrożni w przyjmowaniu nowych
członków — powtórzył wysoki, niegdyś piękny, a
obecnie strawiony jakimś długotrwałym cierpieniem
męczyzna. — Mniejsza o nasze niebezpieczeństwo
osobiste, ale nie powinniśmy niszczyć szczęścia innych
ludzi, jakkolwiek ono powstało. Z mojej spowiedzi

wiadomo wam, że córka moja została jako panna matka z nikczemnikiem, który ją porzucił i że ukrywając ten wypadek, wydałem ją za syna najserdeczniejszego przyjaciela. Otóż małżeństwo to jest pod każdym względem szczęśliwe: on ją kocha i wierzy w jej niepokalanie, ona go ubóstwia, mają dwoje prześlicznych dzieci, którym swe serca poświęcili... Pojmujecie łatwo, co by się stało z tą rodziną po odsłonięciu przeszłości mojej córki.

— Tak, tak — wtrącił barczysty brunet — to równałoby się niemal rozprawie z bogatą Żydówką.

— Lub z gadatliwą żoną — dodał jego sąsiad.

— Wolałbym jednak wszystkie te katastrofy — rzekł ze spokojnym naciskiem chudy, zwiędły i starannie wygolony człowieczek — niż stanąć pod publicznym pręgierzem po odkryciu, że się używa skradzionego majątku. Chociaż oszustwo popełnił mój ojciec, ale jego hańbą napiętnowano by czoło syna, który wie o tym, czemu zawdzięcza swoje bogactwo.

Podczas tej wymiany obaw twarze obecnych wykrzywiły się cierpieniem, do którego przyczepiały się i natychmiast odpadały sztuczne uśmiechy. Powoli nad innymi uczuciami zapanował gorzki smutek, który wbijał w każdą duszę podwójne szpony. Pod wpływem bowiem rozmowy nie tylko zbudziły się i szarpać ją zaczęły uśpione wspomnienia, ale uświadomiła się jasno ta pewność, że nikt nie był wyłącznym posiadaczem i stróżem swej bolesnej tajemnicy, lecz powierzył ją innym, którzy przez nieostrożność lub złą wolę oddać ją mogli na łup całemu światu. Wprawdzie

każdy, wstępując do klubu, oswoił się z tą myślą i przewidywał możliwe następstwa swych wyznań, ale teraz dopiero ocenił ich wagę, gdy już nie był w stanie ich cofnąć i gdy widział podstępne zamiary osób obcych, pragnących zdjąć ze stowarzyszenia jego maskę. Odgadli to pogwałcenie swych towarzyszków dwaj ludzie, z których jeden był głównym twórcą klubu szachistów, a drugi jego przewodnikiem.

— Sądzę — odezwał się prezes — że kilkoletnie trwanie naszej instytucji, w którym wypróbowała się należycie niezachwiana niczym szczerość i dyskrecja wszystkich członków, powinno zupełnie usunąć trwogę, o ile pozostaniemy w dotychczasowym składzie. Każdy z nas tylko powiększył swoją istotę, stanowimy razem jedną, ściśle spojona całość. Zresztą, jak wiecie, posiadamy w naszej organizacji dostateczne wędzidło przeciwko nieposzanowaniu tajemnicy. Dziś dbać powinniśmy tylko o to, ażeby nie wpuścić do siebie zdrajcy, którego tym wędzidłem nie moglibyśmy okiełznać.

— Zamknijmy klub dla nowych członków — zawołało kilka głosów.

— Jeżeli tego żądacie — oświadczył prezes — godzę się.

— A ja nie — powiedział stanowczo wysoki, szczupły mężczyzna z bladą, rzadkim czarnym porostem obrzuconą twarzą, którego hakowaty nos wyrażał energię, a wąskie i zaciśnięte wargi — upór. Gdy odezwał się, z po za okularów błysnął mu ogień.

— Dlaczego? — spytano ze wszech stron.

— Naprzód dlatego, że jeżeli nasze stowarzyszenie założyliśmy nie dla bezmyślnego przyglądania się sobie, lecz dla nauki, to musimy się starać o jak najobfitsze zebranie dla niej materiału.

— Mamy go już dosyć.

— Ona nie zna „dosyć”.

— W takim razie nigdy nie skończymy tej pracy.

— A przynajmniej nie dziś. Po wtóre...

— Nie chcemy, nie chcemy! — wołano namiętnie.

— Po wtóre — mówił nieustraszony oponent — przedstawię wam kandydata, który odpowiada wszystkim warunkom naszego stowarzyszenia i dostarczy naszym badaniom nadzwyczaj ciekawych faktów.

— Kto taki?

— Zgodnie z regulaminem, nazwiska jego nie wymienię, dopóki nie zostanie przyjęty do naszego klubu. Jest to człowiek, któremu przyznano najzaszczytniejsze tytuły ideału, a on sam nazywa się wielorakim łotrem. Czy wysłuchacie jego własnoręcznie spisanej biografii, którą złożył w moje ręce?

Jednych ogarnęła ciekawość, w drugich wstąpiła odwaga.

— Czytaj! — zawołali wszyscy.

— Naprzód muszę wam dać kilka słów objaśnienia. Miałem serdecznego przyjaciela, który, jak sędzę, otwierał przede mną swoją duszę na oścież i nie zakrywał w niej najwstydlivszej tajemnicy. On to właściwie nasunął mi myśl założenia naszego towarzystwa. Umierając, pozostawił syna, którego

powierzył mojej opiece. Chłopiec rozwinął się pięknie, wyrobił sobie umysł tęgi, a charakter brylantowej czystości. Powszechnie twierdzono, że do niego najmniejsze złe nie zdoła się przyczepić, ojcowie i matki stawiali go jako wzór już nie swoim synom, ale córkom; posiadał bowiem naturalny smak w cnocie i wrodzony wstręt do występku. Nie potrzebował żadnego wysiłku, ażeby być dobrym, a musiałby zadać sobie najgwałtowniejszy przymus, ażeby popełnić coś złego. Otóż ten młodzieniec przychodzi do mnie przed paru dniami i oświadcza, że pomimo największych starań nie może być uczciwym, że obciążył już swoje sumienie wielkim brzemieniem grzechów, które go rozgniała i do rozpaczyny przyprowadza. Dręczą go niemiłosiernie dwie zgryzoty: jedna — że nie jest takim, jakim być pragnie, druga — że jest w gruncie rzeczy innym, niż wszyscy mniemają. Na dowód wyspowiadał mi się szczerze z kilkunastu lat swego życia.

Rzeczywiście, dopuścił się mnóstwa wykroczeń przeciw moralności, a nawet prawu, o które nigdy bym go nie posądził. Ponieważ żądał ode mnie pomocy, więc poradziłem mu, ażeby wstąpił do naszego towarzystwa i spisał swoje zeznanie, które wam przedstawię.

I zaczął czytać spowiedź długą i ciekawą. Widać z niej było zarówno szczerść, jak bezsilne pasowanie się duszy, która pragnie być czystą, a ciągle albo okurza się pyłem drobnych brzydactw, albo nawet wpada w moralne błoto. Zwłaszcza niektóre ustępy były bardzo wymowne.

„U ciotki mojej służyła śliczna dziewczyna z tragiczną przeszłością. Jej matka podczas nieobecności męża, który powędrował w świat z sitami, uległa gwałtowi kilku żołnierzy. Zataiła ten wypadek, ale gdy uczuła jego skutki, pod wpływem moralnego cierpienia i obawy przed mężem, który ją bardzo kochał, a nieprędko miał wrócić, dostała rozstroju umysłowego. Całymi dniami siedziała w niemym pogrzebieniu, a gdy urodziło się jej dziecko, chodziła z nim po drogach, poszukując «ojców», którzy mieli od niej odebrać swą własność. Nareszcie ciotka moja, mieszkająca w sąsiedniej wsi, ulitowała się nad biedną kobietą, która zresztą już nigdy nie odzyskała zmysłów, zwłaszcza iż mąż się zabił — i wzięła na wychowanie dziewczynkę. Wiedząc o tym wszystkim, byłem dla niej ojcowsko czuły i zdawało mi się, że raczej targnąłbym się na świętość niż na ten owoc nieszczęścia, na tę żywą skargę przeciw zbrodni. Upłynęło lat kilka i nareszcie, dzięki tej mojej czułości, odnawianej podczas corocznych przyjazdów do ciotki na wakacje, dziewczyna miała zostać matką. Przysięgam z całą szczerością, że tego nie chciałem, że w przeddzień mojej winy byłbym się oburzył na samą myśl o niej, że jakiś szatan, tkwiący w moim organizmie, porwał mnie przemocą i unurzał w grzechu, że ani na chwilę nie straciłem świadomości sromoty mojego czynu, że spełniwszy go, byłbym się zgodził na pokutę w ciele najnędniejszego zwierzęcia, aby tylko on nie istniał i pamięć o nim znikła. Opluwałem swoją duszę, sumienie, wolę, krew, nerwy, nie widziałem wokoło ani

jednej tak podłej istoty, która by nie miała prawa spojrzeć na mnie ze wzgardą. Wszystkie rozmyślenia nie doprowadziły mnie do żadnej drogi wyjścia. Postanowiłem więc uciec z miejsca występku i od mojej ofiary w dziecinnym złudzeniu, że ona wynajdzie jakiś ratunek albo też że czyjaś nieznana ręka rozplącze ten przeklęty węzeł. Rozcięła go — ale dziewczyna, która przepadła bez wieści, kryjąc nie tylko swoją, ale moją hańbę. Kiedy mi o niej wspomniała ciotka, dodała z odrazą: «Poleciała pewnie do swych ojców, kanalia!». Ja milczałem i nie obroniłem jej ani słowem”.

Inny ustęp:

„Po śmierci ojca zostało nas dzieci czworo — wszyscy pełnoletni. Ponieważ byłem najstarszy, a przy tym używałem sławy człowieka nieskazitelnego, więc dwaj młodzi bracia i siostra zgodzili się na mój podział majątku. Należały do niego, oprócz gotówki, dwie nieruchomości i sumy hipoteczne. Rozpocząłem rachunek bardzo sumiennie, ale w dalszym jego ciągu powoli coraz bardziej obniżałem nominalną wartość mojej części, a przeceniałem działą rodzeństwa. Ostatecznie przyznałem sobie znacznie więcej, niż mi się należało. Zrobiłem to również bez uprzedniego zamiaru skrzywdzenia rodzeństwa, nie tracąc ani świadomości postąpienia źle, ani chęci postąpienia dobrze. Jaka siła zwalczała wszystkie skrupuły i zmusiła mnie do niecnoty? Nie umiem jej nazwać”.

Inny ustęp:

„Raz przyszedł do mnie kolega szkolny, z którym pozostawałem niegdyś w serdecznych stosunkach,

prosząc o pomoc w zdobyciu jakiejś posady. Był to nędzarz, wysmagany przez los, nieumiejący wielkim rozumem i uczciwością zabezpieczyć się przeciw jego poniewierce. Rzeczywiście, kilku wpływowym znajomym poleciłem biedaka, ale ci nie chcieli czy nie mogli dać mu pracy. Wkrótce pewna instytucja zaofiarowała mi zyskowną synekurę, którą przyjąłem. W tej chwili stanął mi przed oczami mój kolega z wychudzoną twarzą i wytartym ubraniem. On na to stanowisko niewłaściwy — powiedziałem sobie, a mówiąc to, pojmowałem jasno niegodziwość tego wykrętu. Nie cofnąłem się jednak — i co mnie powstrzymało? Jaka piekielna moc mną rządzi? Woli, niezłomnej woli!”.

Inny ustęp:

„Wychodząc z banku, znalazłem na schodach jakąś paczkę. Schowałem ją do kieszeni i otworzyłem dopiero w domu. Zawierała 12000 rs. Pierwszem wrażeniem przy tym odkryciu była radość z posiadania tak znacznej sumy. Po chwili jednak uświadomiłem sobie, że jest ona cudzą własnością, którą powinienem oddać. Komu? To przekonanie, że owego kogoś nie znam, że on o zwrot pieniędzy nie upomina się, sprawiało mi dziwną przyjemność. Zacząłem snuć przypuszczenia, które ją powiększały: suma ta mogła należeć do banku, który o swej stracie zamilczy; do cudzoziemca, który wyjedzie za granicę, zwątpiwszy o możliwości odzyskania zguby; do prostaka, który nie wie nic o sposobach publicznego poszukiwania jej itd. Kilkakrotnie szepnęła mi natrętna myśl, że powinienem zrobić ogłoszenie w pismach, ale

ją odegnałem. Dlaczego ja mam się tym trudzić? Czyż tego nie powinien zrobić sam poszkodowany? Uwolniłem się wszakże od obowiązku czytania we wszystkich gazetach. «To jest niepodobieństwem — rzekłem sobie — dość, gdy przeglądać będę dziennik najbardziej rozpowszechniony». Ale przez trzy dni wcale nie zajrzałem do inseratów, odczytując jedynie tekst i to bardzo ostrożnie. Czwartego dnia uczułem niepokój w sumieniu, postanowiłem więc odczytać ogłoszenia w piśmie najbardziej niemi zapełnionym. Ani wzmianki o zgubie! Śmiało biorę do ręki inne gazety — to samo milczenie. «Albo moje przypuszczenia były trafne — pomyślałem sobie — albo ogłoszenie pomieszczono w numerach poprzednich». Nie chciało mi się ich odszukiwać w porzuconych papierach.

Upłynęły dwa miesiące, podczas których oswoiłem się ze znalezioną sumą jako moją. Dyrektorowi banku wyprawiono ucztę jubileuszową, na którą i ja otrzymałem zaproszenie. Przy kolacji pewien podpity przemysłowiec w głośnej rozmowie zaczął bardzo wzgardliwie odzywać się o instynktach ludzkich.

— Sam pan w to nie wierzysz? — zauważył mu jubilat.

— Nie wierzę! — zawołał fabrykant. — Dam panu dowód: przed dwoma miesiącami zgubiłem w waszym banku 12000 rs. i nie zrobiłem o tym najmniejszego ogłoszenia, gdyż nie chciałem, ażeby znalazca, wzięwszy moje pieniądze, jeszcze w dodatku

uśmiechnął się złośliwie z mojej głupiej nadziei, że on mi je zwróci.

Argument był silny.

— A właśnie, że je zwrócę, skoro wiem, że do pana należą — rzekłem uroczyście.

Zdumione oczy obecnych zwróciły się na mnie.

— Pan je znalazłeś? — spytał fabrykant zmieszany.

— Tak.

— A dlaczego pan nie ogłosiłeś?

— Bo uważałem, że był to interes i obowiązek właściciela, tym bardziej, że mógł się ktoś inny do nich przyznać.

Wypowiedziałem ten frazes z takim przekonaniem, jak gdyby on wyszedł z poważnego namysłu i prawego sumienia. Naturalnie pesymista odwołał zaraz swoje zniewagi przeciw naturze ludzkiej, a nazajutrz we wszystkich pismach brzmiała sława mojej uczciwości. A ja, słuchając jej, znowu plułem w siebie”.

Gdy zastępca bezimiennego autora skończył czytanie, zapytał członków klubu:

— Czy przyjmiecie go?

— Przyjmiemy — oświadczyli jednogłośnie.

— Nazywa się Wacław Urbin.

— Urbin? — powtórzył z najwyższym zdziwieniem prezes stowarzyszenia.

II

Przyjęcie Urbina do klubu było wypadkiem bardzo ciężkim. Naprzód, stowarzyszenie zawiązało się niemal od razu w obecnym składzie jako kółko przyjacielskie, z ludzi dobrze wzajem znajomych, i właściwie dotąd nie wprowadziło żadnego nowego członka. Po wtóre, zaznaczone na poprzednim posiedzeniu niebezpieczeństwo zdrady tajemnic i dostrzeżone próby w tym kierunku rzuciły popłoch. Po trzecie, dopuszczenie jeszcze jednego człowieka do znajomości sekretnych wyznań przejmowało każdego jeśli nie strachem, to niechęcią. Wszyscy oni bowiem, zakładając klub, mieli dość odwagi do szczerego otwarcia przed sobą swych dusz, ale gdy pierwszy zapal ochłódł, gdy owe spowiedzi, własnoręcznie spisane, spoczywały w skrzyni, skąd mogły być skradzione i złośliwie użytkowane, gdy do nich teraz dano swobodny dostęp członkowi nowemu, niemiłe dreszcze obiegły szachistów. Nadto dołączyła się jeszcze jedna okoliczność: Urbin nie był im obcy; wszyscy pozostawali z nim w dalszych lub bliższych stosunkach i wszyscy — jak tego wymaga życie — grali przed nim komedię, którą on teraz miał przejrzeć zza kulis. A i on sam uległ bardzo naturalnej febrze: w pierwszym uniesieniu odsłonił swe życie przyjacielowi, ale skoro nadeszła chwila ukazania całej jego nagości innym, którzy dotychczas patrzyli na niego z szacunkiem, a nawet podziwem — uczuł gorąco wstydu. Niepodobna

wszakże było cofnąć się — i Urbin przybył na zebranie klubu.

Był to mężczyzna trzydziestoletni, a tak chudy, że prawie znikły mu mięśnie. Z twarzy, ocienionej brunatnymi włosami i jaśniejszym zarostem, bił jakiś namiętny ascetyzm. Piwne oczy gorzały mu mocno, a na ustach ważył się wyraz wielkiego znużenia czy też bóleści. Można by go nazwać przystojnym, gdyby nie był zbyt chudym i zbyt długim. Za długą miał twarz, za długi nos, brodę, całą wreszcie postać.

Prezes powitał go życzliwie i ośmielająco.

— Jeżeli uroczyste przysięgi ludzkie w poważnych przedsięwzięciach mogą mieć jakąś moc, to ma ją nasza, którą zobowiązujemy się przed tobą — od chwili wstąpienia do klubu przestajemy być dla siebie panami — że ani jedno słowo twojej spowiedzi nigdy nie wyjdzie po za nasze myśli. Nawzajem ty nam przysiędziesz, że pozostaniesz niemym dla świata co do tajemnic naszych, które masz prawo poznać. W tej skrzyni leżą spisane nasze wyznania, które wolno ci odczytać. Artykuł 15 statutu zastrzega, że gdyby którykolwiek z członków zdradził najdrobniejszą cząstkę sekretów stowarzyszenia, inni ogłaszają publicznie, w sposób przez się wybrany, jego własnoręcznie spisane zeznanie wraz z dodatkiem ustnych objaśnień. Dotychczas nie potrzebowaliśmy używać tej broni i zapewne jej nie użyjemy. Nie uznajemy bowiem żadnego z naszych towarzyszków zdolnym do popełnienia takiej niecnoty, zwłaszcza że ona nie tylko naraziłaby honor wielu ludzi, ale

zniszczyłaby pożyteczną instytucję. Nazwaliśmy ją klubem szachistów dlatego, ażeby zakryć przed tłumem rzeczywisty nasz cel i tym swobodniej móc pracować. Cel ten zaś polega na zebraniu ze szczerych spowiedzi członków materiału psychologicznego, który by nam pozwolił rozświetlić trudną i powikłaną zagadkę prawie powszechnej dwoistości, a nieraz wielolicowości natury człowieka. Nie będę ci tłumaczył tego szczegółowo, bo sam to rozumiałeś w swoim życiorysie. Nie przyniosłeś z sobą na świat żadnych złych skłonności, pragnąłeś być uczciwym i mimo to dopuściłeś się szeregu czynów, do których sam czujesz wstręt moralny. W podobnym położeniu znajdujemy się wszyscy. Otóż staje przed nami ciekawe pytanie psychologiczne: czy przyczyna tych zboczeń tkwi w naszej organizacji, czy w jakiejś osobnej chorobie woli, czy w warunkach życia? Na pytanie to nie można dać odpowiedzi inaczej, tylko po zbadaniu rzetelnych, żadną obłudą lub skrupułami niesfałszowanych spowiedzi dusz, które umieją się obserwować. Gdy zgromadzimy wystarczający materiał, jeden z nas przerobi go na dzieło naukowe.

— I mnie — rzekł Urbin — od dawna zajmowała ta kwestia, chociaż nie wpadłem na właściwą drogę jej rozwiązania. Rzeczywiście wasz pomysł jest najlepszy i może jedyny. Co zaś do mojej osoby, zdaje mi się, że ten materiał pomnożę bardzo obficie. Zawsze usiłowałem być jednolitym i uczciwym, ale dziś ta chęć stała się we mnie manią, pragnieniem, górującym ponad wszystkimi innymi. Mimo wszakże tego pragnienia,

mimo boleści, jaką uczuвам po tylokrotnym przeniewierzeniu się mu, z doświadczeń przeszłych i ze znajomości natury swojej wnoszę, że nie osiągnę nigdy celu i że ciągle dopuszczać się będę rozmaitych obrzydliwości moralnych. Jestem też bezmiernie nieszczęśliwym, gdy myślę, że dojdę do kresu życia ze wzdargą dla siebie.

Dotychczas ani razu nie panował w klubie szachistów tak tragiczny nastrój. Jego członkowie mieli istotnie poważne zamiary, ale przykre uczucia starali się od czasu do czasu osłabiać rezygnacją. „Cóż robić, kiedy tacy jesteśmy!” — powtarzali. Urbin wypłaszał tę pociechę.

— Nie chodzi mi tu wcale o obłudę — mówił z coraz większym przygnębieniem. Może ona być niesympatyczną, nawet szkodliwą, ale nie jest ani głupią, ani nieuleczalną. Wszystkie istoty, które prowadzą walkę o byt, muszą być obłudne. Jeżeli ptak, przytuliwszy się do drzewa, naśladuje kawałek jego kory, ażeby się obronić przed nieprzyjacielem, lub udaje martwego, to go rozumiem i ganić nie mogę. Jeżeli ktoś gra rolę mojego przyjaciela, ażeby mnie oszukać, to również go rozumiem, chociaż ganię. To są czyny świadomie zamierzone i wypływające z woli. Najpodlejszy występki, dokonany w zgodzie z nią, sprawia mi mniejszą odrazę niż najmniejsze wykroczenie wbrew chęci. Bo czyż to nie oburza, że ja, człowiek ukształcony, rozważny, szczerze pragnący dobra, nie mam tak marnej siły, jakiej potrzeba dla powstrzymania się od kroku, na który przedtem się

wstrząsam? Nie zmusza mnie do niego ani gwałtowna żądza, ani interes, ani rachuba, nic — a jednak z całą moją wiedzą i zasadami moralnymi włożę w jakieś błotko, które mi cuchnie. Parę kieliszków alkoholu, często tylko dobry humor i pustota lub lenistwo w zwalczaniu pokusy — i ot, z idealisty robi się zwyczajny prosiak. W tej chwili rozprawiam o tej ohydzie, czuję w duszy jej niesmak, piętnuję się i chłoszczę za nią, a za godzinę wyjdę stąd, ponętna kobietka otrze się o mnie — i cała mądrość, cała skrucha pryśnie jak bańka mydlana. Czy to nie głupie, nie podłe i nie rozpaczliwe?

— Wychowanie — prawil dalej — i wszystkie późniejsze wpływy uszlachetniające starają się o to tylko, ażebyśmy umieli na pamięć reguły moralne i uznawali ich wartość. No, ja i wy umiemy je na pamięć, szanujemy ich wartość — i cóż z tego? Włożą one w nasze myśli, rozplływają się w naszych uczuciach, ale nie wsiąkają w naszą wolę. Niechaj ktoś tak mnie wychowa i tak umoralni, ażebym nie zdołał nic takiego popełnić, co dla tych myśli jest głupie, a dla tych uczuć wstrętne. Niech mnie kto nauczy tego, ażebym, będąc człowiekiem rozumnym i uczciwym, nie zajrzał przeciwnikowi przy grze w karty, nie uwiódł ładnej kobiety, która nie stawia oporu, ażebym nie zamknął oczu na cudzą niedolę itd. Powiedzcie mi szczerze, czy którykolwiek z was potrafi tak mnie lub siebie ukształcić?

Milczeli.

— A czy może zbadaliście, dlaczego ludzie zacni w teorii są niegodziwcami w praktyce?

— Zbieramy dopiero materiał — odezwał się prezes.

— Ha, będę go zbierał z wami, ale jeżeli po upływie pewnego czasu nie wydobędziemy z niego rozwiązania zagadki, machnę ręką na cały wasz bzdurny klub i założę inny. A wiecie jaki? Taki, w którym by członkowie wynajdywali sposoby przerabiania ludzi uczciwych w teorii, a niemoralnych w praktyce na skończonych łotrów, podłych w woli i w czynie, jednolitych. Dla ogółu, dla świata wszystko jedno, czy mu wyrządza krzywdy ideolog, czy nicpoń, a przynajmniej ci nicponie będą szczęśliwi, bo się uwolnią od wewnętrznego rozdwojenia i rozdźwięku. Ale dosyć już na dziś filozofii. Pożegnam was, bo muszę wyjść na spotkanie pewnej pokusy, która mi drogę zachodzi i której prawdopodobnie ulegnę. Mam nadzieję, że z niej dostarczę wam dużo pouczającego materiału.

— Dobry z niego nabytek — rzekł prezes.

— Radykał — wtrącił ktoś z boku.

Inni pogrążyli się w zadumę.

III

Ze wszystkich woni najlotniejszą, ze wszystkich dźwięków najdonioślejszym, ze wszystkich światel najdalej promieniejącym — jest plotka. Gnijący trup słońca rozpościera odór na milę, armata forteczna rozsyła swój huk na dwie mile, płonące miasto rzuca łunę na kilka mil, obmówiony człowiek obciąga nieraz swoją niesławą cały glob ziemski. My w Warszawie przeżuwaliliśmy plotki o Eminie baszy, przebywającym we wnętrzu Afryki, o prezydencie amerykańskim lub vicecesarzu chińskim, a to samo robiono w Szwecji, Hiszpanii, Anglii — wszędzie. Jest to najzupełniej naturalnym i usprawiedliwionym. Śród przedmiotów wiedzy najciekawszym jest dla człowieka człowiek. Od czasu do czasu napada nas chęć przeniknięcia tajemnic słońca lub księżyca, roślin lub wulkanów, ale najstalszym i najgorętszym pragnieniem naszym jest chęć przeniknięcia tajemnic ludzkich. Zadanie to o tyle trudne, o ile ponętne, gdyż korona stworzenia składa się z istot najdoskonalszych, ale i najobłudniejszych. Włóczy się po świecie od wieków bajda, że każdy najmniej zna samego siebie, a daleko lepiej innych. Że w niej nie tli się ani iskierka prawdy, dostrzec łatwo, porównawszy naszą wiedzę o sobie z wiedzą innych o nas. Jeżeli zaś takie porównanie przeprowadzimy w szerokiej mierze, to dojdziemy do wniosku, że człowiek ma takie samo prawo wyrokowania o człowieku jak mrówka o mrówce. I one przecież porozumiewają się

wzajemnie, karzą, tworzą społeczeństwa i przedsiębiorą wspólne wyprawy, jednakże każda daleko więcej wie o sobie niż o innych, których ustroju nie umiałyby objaśnić w najprostszym szczególe. Ale mrówki są o tyle mędrsze od ludzi, że milczą i nie wyrokują o swoich towarzyszach, nie piszą swoich dziejów, nie wydają sądów równie stanowczych jak na niczym nieopartych. Może nie ma między czytelnikami tych słów ani jednego, który by wielokrotnie nie znalazł się wobec jaskrawej sprzeczności między istotnymi pobudkami swych czynów a tymi, które mu inni przypisują. Wzruszył cię los jakiejś biedaczki, którą tajemnie wspierasz; ludzie dostrzegli twoje sekretne u niej wizyty i mianowali ją natychmiast twoją utrzymanką. Kupiłeś sobie jakiś szczególnego kroju surdut, który ci się podobał; ludzie twierdzą, że chcesz nim zwrócić na siebie uwagę. Idziesz do kościoła, ażeby się pomodlić; oni utrzymują, że czynisz to dla przypodobania się bogatej a pobożnej ciotce. Ileż razy nicpoń, którego samolubną rachubę nazwano bezinteresownym poświęceniem, rozśmiał się szyderczo lub zacny ideolog, którego bezinteresowne poświęcenie nazwano samolubną rachubą, rozśmiał się gorzko! Są nawet charaktery dostojne, które ze szczególną przyjemnością idą gościńcem życia w niepokalanej szacie swej moralnej czystości wśród błotnistej deszczu niegodziwych posądzeń. Na ich twarzach nie widać żadnej boleści, przeciwnie — jakieś wyniosłe zadowolenie i dumna wzgarda.

Wobec tej prawie zupełnej niewiadomości człowieka o innych ludziach nieocenioną przysługę oddaje mu plotka. Jest to zwykle garść kurzu, schwytanego w powietrzu około kogoś i rzucona potem w oczy innym. Albo jest to twór, który posiada czujny węch, a bardzo ślepy wzrok. Zwęszy on coś szybko, ale nie dosłyszy wszystkiego, a nie dostrzeże czasem takich dowodów, które same rzucają się w oczy. Niepodobna zaprzeczyć, że plotka daleko bardziej dogadza ludzkiej ciekawości niż złości. Ona nie zawsze bywa potwarzą, najczęściej informacją. Zwłaszcza zaś między osobami wysoko postawionymi a ogółem jest ona jedyną pośredniczką, roznoszącą wiadomości.

Jeśli zaś oblatuje cały świat, to naturalnie bez zbytecznego wysiłku skrzydeł może oblecieć największe miasto. Nieraz słyszymy, że Warszawa jest plotkarską. Zarzut niesłuszny, bo równie plotkarskim jest Berlin, Paryż lub Londyn. Kilka kilometrów przedłużenia drutu nie stanowi dla telefonu języków ludzkich żadnej różnicy. Tylko połączenia rozmawiających są liczniejsze i rozmaitsze.

Miasto, w którym osiadł klub szachistów, liczyło przeszło sto tysięcy mieszkańców, a więc nie narażało plotek na zbyt wielkie zmęczenie. Mnożyły się też one bardzo obficie i okrażały klub stadem brzęczących i kłujących komarów. Co prawda, sam on rozdrażnił ciekawość ludzką. Naprzód, z wyjątkiem prezesa, nie posiadał ani jednego dobrego szachisty, skutkiem czego nasunął podejrzenie, że pod tym szyldem ukrył coś innego. Po wtóre, otoczył się bardzo ścisłą tajemnicą i

nie przyjmował nowych członków. Puszczono w ruch domyślność: jedni odgadli, że jest to loża masońska, drudzy zapewniali, że przybytek gier hazardowych, inni — że miejsce schadzek rozpustniczych itd. Między tymi przypuszczeniami odzywała się również informacja, że członkowie klubu spowiadają się ze swego życia dla studiów psychologicznych. Naturalnie w każdym wypadku był on przedmiotem zgorszenia i celem napaści. Ludzie wszakże mają w swych duszach głęboko zakopaną słabośćkę do rzetelności. Wtedy, kiedy najbardziej kłamią i najzawzięciej roznoszą plotki, chcieliby dotrzeć do prawdy. Stąd to powstały ciągle ponawiane usiłowania wejścia do klubu, ażeby poznać jego organizację i cele, ażeby je potem w szeptach i poufnych zwierzeniach rozgłosić. Podkopy te jednak — jak widzieliśmy — spostrzegano i niweczono. Ale nareszcie pewnego dnia wpadła do plotkarskiego młyna wieść, że Urbin został do klubu przyjęty. Dlaczego on?... W szachy nie grał, więc jakież miał kwalifikacje? Twardy ten orzech gryziono z tym większą zapalczywością, że Urbin był w mieście postacią bardzo znaną, lubianą i szanowaną, a jako człowiek zamożny i zajmujący korzystne stanowisko radcy prawnego w banku, pociągał ku sobie serca wielu mam i ich córek. Przy najbliższej okazji zagadnęła go otwarcie na balu jedna z pięknych dam, która miała nawet wstęp do jego szczerości, gdyż przed paru laty wraz z nią oszukiwał jej męża przez kilka miesięcy u wód zagranicznych i leczył ją z «pustki w życiu».

— Więc ostatecznie, co wy tam robicie? —
zapytała go z miłym uśmiechem.

— Gramy w szachy — odrzekł bez namysłu.

— Ale to żart nie dla mnie. Mów tak — dodała
ciszej — do tych, które nie widziały twojej brodawki na
prawym ramieniu.

On spojrzał na nią tym wzrokiem pożądliwym,
który błysnął kiedyś, a potem zgasł.

— Proszę mi wierzyć, gramy w szachy.

— Tak jak ze mną przed trzema laty w przyjaźń?
Zmarszczył nieco na to przypomnienie obłudy
względem jej męża.

— Dla pani byłem zawsze szczerym.

— I to nieprawda. Ale mniejsza o nią. W tej chwili
chodzi mi tylko o to, czym zajmujecie się w klubie.

— Gramy w szachy — powtórzył z mocniejszym
naciskiem.

— Dziwna fantazja, tym dziwniejsza, że wszyscy
dotychczas tej sztuki nie uprawialiście.

— Bo takiej nikt dotąd nie uprawiał.

— Jakiej?

— Uczymy się grać w szachy sami z sobą.

— A, to coś niezmiernie ciekawego! — zaśmiała
się głośno. — Powiedz mi pan, jak to się odbywa.

— Wiadomo pani, że zwyczajna gra w szachy jest
wojną dwu stron, atakujących i broniących się za
pomocą posuwania figur. Otóż my znieśliśmy tę walkę
dwu przeciwników na walkę z samym sobą. Jest to gra
bardzo trudna, wymagająca długich studiów,
duchowego rozdwojenia się, bo trzeba być jednocześnie

swoim sprzymierzeńcem i wrogiem. Jest to coś podobnego, jak gdyby pani chciała być łącznie sobą i swoim mężem.

— Brzydkie porównanie, przyznaj pan.

— Sama pani wskrzesiła mi je w pamięci.

— Mimo tego wymownego przykładu nie rozumiem.

— Bo pani nie gra w szachy.

— A gdybym nauczyła się, przyjęlibyście mnie?

— Nasz klub jest czysto męski.

— Że męski, wierzę, ale żeby w nim było czysto, wątpię.

— Dopóki nie dopuszcza kobiet, niech pani nie wątpi.

— Przeciwnie, panie, nie może być czystym klub, którego członek jest tak brutalnym.

Urbin czuł, że na tę ostrą odpowiedź zasłużył. Nie był on z natury gburem, ale zapomniał, że jeżeli kobieta, którą mężczyzna zawsze szanował, ma prawo do jego grzeczności, to ta, którą splamił, ma prawo do podwójnej.

— Przepraszam, gorąco panią przepraszam — rzekł zmieszany. — To, co powiedziałem, było brzydkim prostactwem,

Odpowiedziała mu uśmiechem przebaczenia.

„Więc jeżeli zechcę — pomyślał sobie — znowu będziesz moją. Ciekawa rzecz, czy ja zechcę?”

W tej chwili dostrzegł prezesa klubu, który z daleka im się przypatrywał i naturalnie w piśmiennej spowiedzi znał ich tajemnicę.

Urbin doznał dziwnego wrażenia, uświadomiwszy sobie, że ten obcy człowiek, który na nich patrzy, nie tylko wie, co oni w największej skrytości kiedyś czynili, ale nawet zgaduje, o czym mówią i myślą teraz. Było to wrażenie takie, jak gdyby ktoś nagle wysunął go z ubrania i postawił nagim. Tymczasem prezesowi nie chodziło bynajmniej o proste zadowolenie swej ciekawości i bezcelowe szpiegowanie towarzysza. Miał on ważniejszy ku temu powód. Tuż przy nim siedziała młoda panienska wysokiej urody, która prowadziła z nim przyciszoną rozmowę. Było to jeszcze dziecko — nie przeszła lat 18 — ale dziecko bardzo szybko dojrzewające. Zarumieniona młodością twarzyczka układała się co chwila w jakiś energiczny wyraz, a czarne oczy pod bujnym złocistym włosiem miały bezdenną głębię, w której na przemiany to migał wesoły urok, to płonął mocny zapach. Widząc ją, nie wątpił, że ona szybko przedzierzgnie się ze ślicznej dziewczynki w również piękną, ale dojrzałą kobietę. Potrzeba było na to jednego wypadku, który by jej uczucie zmroził swym chłodem lub doprowadził do wybuchu swym żarem.

— Co stryj ma przeciw niemu? — pytała natarczywie.

— Nic — odrzekł prezes — dopóki go nie nazywasz przystojnym, miłym, zajmującym...

— W czymże się mylę?

— Naprzód, dla twojego gustu powinien być za stary, po wtóre, w obejściu się jest szorstki, a po trzecie, nudny. Gdyby ta pani, przy której on teraz siedzi, tak mówiła o nim, rozumiałbym, ale ty...

— Ale ja jestem również kobietą i mam oczy, których stryj nie posiada.

— O, nie wątpię — rozśmiał się prezes — daleko ładniejsze.

— Przede wszystkim inne. Co ja widzę w mężczyźnie, tego stryj nigdy nie dojrzy.

— Przydałby ci się nieraz mój wzrok.

Prezes, który usiłował zniechęcić bratanicę do członka klubu na podstawie wiadomości tajemnych, rzeczywiście dopuszczał się pewnego wiarołomstwa, ale był usprawiedliwiony. Owa bowiem bratanica była jego naturalną córką, co wyznał w swej spowiedzi piśmiennej, a co starannie ukrył przed światem. I jeżeli w swej przemowie do towarzyszków zapewniał, że jest wolnym od wszelkich związków, które by na wyjaśnieniu tajemnic jego życia uciepieć mogły, to nie kłamał tylko formalnie. Iza Radek bowiem nie wiedziała, że on był jej ojcem, ale on o tym nie zapominał nigdy, wychował ją od dzieciństwa, kochał serdecznie, a gdy niedawno wróciła z Anglii, gdzie się kształciła, doszedłszy do odpowiedniego wieku, miał zamiar ją adoptować i oddać jej po śmierci cały swój majątek. Przywiązany był do niej zawsze, ale teraz, kiedy stanęła przy nim w całym blasku swych wdzięków, rozgorzał ku niej jeszcze większą miłością ojcowską i pragnął jej przyszłość utkać z najświetniejszych promieni szczęścia. Właściwie każdy młody mężczyzna, który zwracał się do jego córki, rzucał według niego na tę przyszłość cień, ale Urbin raził go bardziej od innych, bo był dlań zupełnie

przejrzystym. Henryk Radek wszakże posiadał silny charakter i zdolność panowania nad sobą; wkrótce więc spostrzegł, że przestąpił linię honoru i postanowił z Izą dalej się nie spierać.

Zresztą Urbin, umówiwszy się z dawną swoją przyjaciółką o spotkanie, powstał i zbliżył się do nich. Był mocno blady, a mdły uśmiech ciągle odrywał się od jego ust, do których przywarł wyraz niesmaku.

— Żałuję bardzo — rzekł — że nie umiem ani grać, ani śpiewać, ani deklamować, ani żadnej innej sztuki rautowej. Zabawiałbym szanowną publiczność, a sobie dał niewinne zajęcie.

— Czy pan się nudzi? — zapytała Iza.

— Niestety nie.

— Czemuż Niestety?

— Człowiek, który się nudzi, nic nie robi, a kto nic nie robi, spełnia mnóstwo cnót negatywnych: nie kradnie, nie oszukuje, nie zabija itd. A to bardzo dużo znaczy.

— Czyż koniecznie musi czynić źle?

— Przekona się pani później w życiu, że na najuboższy pokład złota nie wypada tyle piasku, ile złych czynów ludzkich na dobre. Maszyna do młócenia zboża lub walcowania blachy młóci zboże lub walcuje blachę, ale jeżeli koło niej bawi się gromada dzieci, które w nią wsuwają ręce lub głowy, to ona z równą siłą je miażdży. Są ludzie okrutne maszyny i są ludzie nieostrożne dzieci.

— Ze słów pańskich rozumiem tylko przerażający ton, który odzywa się również w przestrojach mojego

stryja. Co za okropności widzicie panowie w życiu, których ja nawet nie odgaduję! Od powrotu z Anglii słyszę tylko naokoło: „strzeż się!”. Czego?

— Siebie.

— Ależ ja sobie niczym nie grożę, ja się kocham, szanuję, jestem dla siebie życzliwa i dobra.

— Wierzę, bo pani jeszcze nie zaczęła się rozdawać. Jesteś młodą płonką, rosnącą i żyjącą tylko jednym pniem bez gałęzi, z których jedna kwitnie i wydaje zdrowe owoce, a drugą zjadają muchy, pleśnie i robaki.

— I ja muszę kiedyś być taką?

— Nie jest to konieczność, ale reguła.

— Jakże się przeciwko niej zabezpieczyć?

— Gdybym znał sposób, to naprzód sam bym go zużytkował.

— Pan już się rozszczepił?

— Dawno.

— A te mchy, pleśnie i robaki toczą pana?

— Tak.

— I pan tego nie chciał?

— Nie.

— Ha, ha, ha, to zabawne! A wie pan, czym zabawne? Tym, że panowie uważacie mnie za gąseczkę, której już nie można straszyć kominiarzem, ale można jeszcze upiorem. Pojmuję stryja, bo go do tych strachów zachęca... wolno mi stryjowi powiedzieć? — miłość dla mnie...

— Wolno — wtrącił zadowolony Radek.

— Ale co pana skłania — ciągnęła dalej Iza — do wmawiania we mnie, że szatan osiedlił się w ludzkich duszach i zamówił sobie mieszkanie nawet w mojej?

— O kilkanaście lat wyprzedziłem panią w przyjsciu na świat, więcej zatem miałem czasu do obejrzenia go.

— Gdybym tak jak pan straciła wiarę w ludzi i w siebie...

— Toby pani równie jak ja zwróciła się do jej towarzyszek — nadziei i miłości.

— Ach, więc pan ma jeszcze nadzieję i...

— Tylko nadzieję. Każdy człowiek, niezadowolony lub nieszczęśliwy, oczekuje swojego mesjasza. Otóż i ja wyglądam mojego. Pod jaką postacią on mi się objawi — nie wiem, może będzie to przyjaciel, może mistrz, a może kobieta. Najbardziej pragnąłbym ostatniej. Cierpienia serca bowiem są daleko dotkliwsze niż cierpienia mózgu; te zaś leczy nieraz mężczyzna, tamte zawsze kobieta. Naturalnie taka, która jest do tego zdolna i powołana. Ponieważ jest to objaw dość częsty i nie należy do owych wysokich szczytów, na których przebywa muza historii, więc ludzie spospolitowali go. A jednakże jest to cud daleko większy niż uzdrowienie trędowatego. Bo czyż to nie dziwne, gdy człowiek, przykładając usta do najrozmaitszych źródeł życia, wypił z nich tylko gorycz, gdy przeszedłszy przez szereg związków i stosunków z innymi ludźmi, tylko ich znienawidził, wzgardził lub co najwyżej na zimno zważył — nagle pod czarodziejskim wpływem jakiejś nieznaney mu przedtem kobiety, często prostej

dzieweczki, odradza się, przeistacza, uczuwa podziw dla swego otoczenia, a szacunek i przyjaźń dla tych nawet, którymi poniewierał? Czyż to nie cud?

Przy tych słowach Radek poruszał się niespokojnie, a Iza milczała, utkwivszy swoje rozszerzone, czarne źrenice w Urbina, który prawił dalej:

— Bakterii nie niszczy tak skutecznie ani woda, ani środki dezynfekcyjne jak ogień. Dla człowieka, który ma w duszy bakterie moralne, rozum jest wodą, morały — środkami dezynfekcyjnymi, a dopiero wielkie uczucie — ogniem. Nas wszystkich chorych duchowo może oczyścić i uzdrowić tylko taki ogień.

Zamilkł. Iza jeszcze przez chwilę patrzyła na niego, wreszcie rzekła zamyślona:

— Więc pan ma nadzieję, że pana on uleczy?

— Tak.

— A mnie się zdaje — rzekł z pewnym rozdrażnieniem Radek — że pan przez całe życie będziesz pocierał o swoje serce zapałki i to będzie cały pański ogień.

— Dlaczego panu tak się zdaje? — zapytał surowo Urbin.

— Bo o kilkanaście lat wcześniej od pana na świat przyszedłem — odparł Radek z przymuszonym uśmiechem.

— Zwracam panu uwagę, że mnie wtedy jeszcze na świecie nie było, więc pan nie mogłeś mnie studiować.

Zaproszenie do kolacji przecięło rozmowę w drażliwym punkcie. Radek usiadł przy córce, Urbin z daleka. Znalazłszy się między dwoma starymi

żarłokami, mógł rozmyślać swobodnie. Uprzytomnił on sobie jasno dwa fakty: pierwszy, że Radek, znający tajemnice jego życia, usiłuje mu przegrodzić drogę do córki, i drugi — że Iza rzuciła na niego silny urok. Zachodziły więc dwa pytania: czy w Radku zwycięży prezes klubu, czy też ojciec, oraz czy on powinien skazywać go na tę walkę i boleść? „A jeżeli Iza będzie moją zbawicielką? — mówił do siebie. Jeżeli ją pokocham a miłość mnie oczyści? A gdyby ona była dla serca mojego tylko zapalką?”.

— Pan dobrodziej słyszał — skrzypnął jeden z nasyconych już staruszków — że Totkiewicz się żeni?

— Nie — bąknął Urbin.

— W tym wieku, mając dorosłe dzieci... pfe!

— Czemuż mu szanowny pan nie poradził, ażeby dla zadośćuczynienia moralności i niegorszenia dzieci wziął sobie raczej metrese?

Staruszek spojrział na niego zezem i zamilkł.

Tego wieczora Urbin nie zbliżył się więcej do Izy.

IV

Rozterka wewnętrzna pędziła Urbina do czynów hazardownych. Spodziewał się on od nich jakiegoś przełomu, zwrotu na drogę, której pragnął i na której mógłby się stale utrzymać.

„Jeżeli mam tak rozdwojoną naturę — rozmyślał — że ciągle robię to, czego robić nie chcę, jeżeli wola moja niezdolna zapanować nad moimi popędami, to może mnie uleczy jakaś wielka awantura, wielkie szczęście lub nieszczęście, które weźmie mocną ręką za kark i pchnie w pewnym stałym kierunku. Niech mnie kto zbije, zelży, sponiewiera, zniesławi, zgodzę się na wszystko, abym tylko wyszedł z tego dręczącego stanu, abym wreszcie kiedykolwiek miał prawo powiedzieć sobie: takim jestem, takim być chcę! Chociażbym nawet miał być złodziejem!...”

Pod wpływem tego coraz bardziej natężającego się w nim pragnienia, jednocześnie powrócił do stosunku z porzuconą mężatką, zaczął odurzać serce Izy i na przekór Radkowi występować jako jej konkurent. Sprzeczności zaostrzyły się groźnie.

Na tygodniowym zebraniu członków klubu Urbin opowiedział szczegółowo, może nawet zbyt szczegółowo, swoją schadzkę, nie kryjąc zamiaru ponowienia jej.

— Jest to — dodał — postępowanie dla mnie tym potworniejsze, że oglądam jego brzydotę przy świetle miłości, która w sercu moim zajaśniała.

— Jakiej miłości? — spytał prezes.

— Ponieważ nie jest ona moim grzechem, lecz cnotą — odparł Urbin — więc do wyznań przed konfesjonałem naszego klubu nie należy.

— Mylisz się, Urbinie — mówił gorączkowo prezes. — Jeżeli mężczyzna podaje rękę zbrukaną romansami niewinnej kobiecie, to popełnia występki. Nadto, nas interesuje twoje czyste uczucie, zmieszane z brudnymi żądzami jako ciekawy objaw psychologiczny.

— Inaczej patrzę na tę sprawę. Zresztą poza naszym zebraniem pomówię o niej z tobą prezesie i poproszę cię o radę, czy mam i tę moją tajemnicę wyjawić.

Radek sposepniał, a członkowie klubu zaczęli kolejno przerzucać wzrok na niego i Urbina, jak gdyby domyślając się prawdy i przeczuwając starcie między nimi.

Nazajutrz Urbin przybył rzeczywiście do Radka i po chłodnym powitaniu od razu przystąpił do rzeczy.

— Odmówiłem wczoraj bliższych objaśnień o mojej miłości, bo jej przedmiotem jest pańska bratanica.

— Pan wiesz — odrzekł Radek, usiłując zapanować nad sobą — że jest to moja córka.

— W rozmowie poza klubem nie powinienem o tym pamiętać. Otóż przychodzę do pana z zapytaniem, czy ja mam na naszych zebraniach przedstawić tę sprawę?

— Jak się panu podoba — odrzekł Radek z drżeniem w głosie — ale czego pan nie powinienes

robić, to starać się o wzajemność Izy, bo ja na związek jej z panem nie zezwolę.

— Dlaczego?

— Dlatego, że znam pańskie życie.

— Jako prezes klubu, ale nie jako Henryk Radek. Jest to z pańskiej strony wyzyskiwanie swego stanowiska przeciwko członkowi stowarzyszenia i łamanie obowiązku, który uroczyście zaprzysiągłeś. Gdybyś pan nie był dopuszczony do moich szczerych wyznań, przyjąłbyś niezawodnie z radością moją rękę dla swej córki.

— Mylisz się pan, nie uważałbym cię nigdy za odpowiedniego dla niej męża.

— Jest to wykręt, którego pan nie udowodnisz.

— Niech tak będzie. W każdym razie wiedząc, że charakter pański jest poplamiony, nie mogę sądzić, że jest czysty.

— Ale panna Iza tak sądzi.

— Ja panu też tylko mówię, jak na małżeństwo z panem patrzy jej ojciec.

— I pan przypuszczasz, że znajdziesz dla niej męża, który będzie człowiekiem niepokalanym? Ha, ha, ha!

— Przynajmniej będę wraz z nią w to wierzył.

— A więc panu potrzebne jest złudzenie, oparte na obłudzie przyszłego zięcia? Pyszny z pana ojciec, a jeszcze pyszniejszy prezes stowarzyszenia szczerości!

— Z ojcostwa dymisji wziąć nie mogę, a z prezesostwa ją przyjmę.

— A no, pomówimy o tym na zebraniu.

Uklonił się chłodno i wyszedł.

Urbin nie kochał jeszcze tak dalece Izy, ażeby jej ojca wyzywał do walki w imię potężnego dla niej uczucia. Panna podobała mu się bardzo i obiecywała mu wszystkimi przymiotami szczęście oraz ten wpływ umoralniający, o którym marzył, ale teraz przede wszystkim chodziło mu o zagłuszenie wewnętrznego rozstroju jakimś wybuchem energii. Radek natomiast cierpiał. Nie spodziewał się on nigdy, że wypadki postawią go między tak ostrymi przeciwieństwami, między obowiązkiem dyskrecji i niepamiętania moralnych skaz człowieka, który mu je pod przysięgą tajemnicy wyznał, a miłością dla córki. Z duszą rozdartą nie umiał jeszcze zdać sobie sprawy, co powinien uczynić, co poświęcić i co obronić, a nawet, jaką właściwie wartość moralną posiadał Urbin. Bo rzeczywiście, gdyby nie znał jego zwierzeń, uważałby go może za pożądanego męża dla swej córki. Ale je zna, zna!

Poszedł na posiedzenie klubu ze świadomością, że będzie musiał wytrzymać gwałtowną burzę, ale bez żadnego pojęcia, jak ją zmoże.

Urbin natychmiast po zebraniu się członków przedstawił całą sprawę.

— Jeżeli złożone tu wyznania — dodał — mają oddziaływać na nasze wzajemne stosunki i czyny poza klubem, to jego wyłącznie naukowy cel jest błagą, a my wszyscy bohaterami głupiej komedii, która nie warta jest tego, ażeby ją grali ludzie poważni i uczciwi.

— Kiedy my nie jesteśmy uczciwi — przerwał prezes blady.

— Ale mieliśmy być takimi względem siebie.

— A więc powiedzcie: czy ja mu powinienem dać córkę? — zapytał Radek wzburzony.

Powstał gwar i spory, roznamiętniające członków coraz bardziej i niezapowiadające zgody. Radek siedział wzruszony i milczał. Wreszcie odezwał się słabym głosem:

— Widzę, że dziś nie dojdziemy do żadnego porozumienia. Zapraszam was na jutro dla ostatecznej decyzji. Niech każdy z nas rozważy tę kwestię z samym sobą.

Zdaje się, że on najbardziej tego potrzebował. Powrócił do domu tak zgnębiony, że Iza od razu to spostrzegła i zaczęła dobadywać się przyczyny.

— Niezdrów jestem — odparł.

Ale ona rozpoznała wybieg, poza którym coś się ukrywało. Nalegała więc dalej.

— Nie, stryju, ciebie gryzie jakaś boleść, której zdusić nie możesz. Musiało coś zajść w tym nieszczęsnym klubie, o którym ludzie tyle bajek przędą. Mój drogi, czemu ty mnie zbywasz zawsze żartami i nie chcesz powiedzieć, co to za stowarzyszenie?

Starcie z Urbinem wyczerpało go i osłabiło w nim siłę oporu; ustawa klubu nie zabraniała odsłaniać jego celu osobom zaufanym, więc Radek dał córce rzetelne objaśnienie.

Wysłuchała go z wielką ciekawością.

— Każdy ze wszystkich tajemnic się wyświadał?
— powtórzyła gorączkowo.

— Ze wszystkich — rzekł Radek.

— I ty stryju?

— I ja.

— I Urbin?

— Tak. Ach, zapomniałem, oświadczył mi się o ciebie. Czy chcesz pójść za niego?

Iza nie rzekła ani słowa i zatoneła w rozmyślaniach. Powstawszy, zaczęła chodzić przyspieszonymi krokami po pokoju. Na jej twarzy odbijał się zamęt różnorodnych myśli.

— Prześpij się stryju trochę, to cię wzmocni — rzekła czule.

Radek usłuchał tej rady, przeszedł do swego gabinetu, położył na biurku dwa duże klucze, które trzymał w ręku, zdjął tużurek, oparł się na szeszlunku i zasnął. Iza wpatrywała się w niego uważnie czas jakiś, wreszcie utkwiała wzrok w owe dwa klucze; po krótkim wahaniu porwała je i wybiegła.

Klub szachistów mieścił się na tejże ulicy o kilka domów dalej. Niebo spuściło ku ziemi szare, wełniste chmury, które płynąc nisko, wysypywały ze swego wnętrza lekkie płatki śniegu. Wieczór już rozpościerał gęste mroki, kiedy Iza weszła do sieni, otworzyła cicho drzwi pokoju klubowego i równie cicho je zamknęła. Następnie zapaliła przyniesioną z sobą świecę i rozejrzała się wokoło. Spozregła okutą skrzynię, którą odemknęła drugim kluczem i podniosła wieko. Wewnątrz leżały uporządkowane zeszyty zapisanych

papierów. Iza podjęła jeden i przeczytała nagłówek: „Śniecki”. Położyła go, wzięła drugi, potem trzeci, ale dopiero czwarty zatrzymała w rękach i zaczęła przeglądać. W miarę jak posuwała wzrok po rękopisie, oczy jej rozogniały się, a twarz martwiała. Nagle drgnęła, opuściła zeszyt i wyszeptała:

— On jest moim ojcem....

Długo stała nieruchoma z falującą piersią, z półotwartymi ustami, na których smutek pasował się ze słabszym od niego uśmiechem. Wreszcie położyła i ten zeszyt, a wyjęła inny z nadpisem: „Urbin”. Zdawało się, że każdy wiersz tego pisma był młotem, który uderzał w jej serce. Daremnie załzawiona, dysząca głęboką boleścią, wyteżala siły, ażeby doczytać do końca: cisnęła papier i krzyknęła z odrazą:

— Brr... brr... udny!

Nie zamknawszy skrzyni, wypadła z pokoju na ulicę. O kilka kroków spotkała Urbina, który ją poznał.

— A pani co tu robi?

— Wracam z apteki, stryj troszkę niezdrów.

— Pozwoli pani odprowadzić się do mieszkania?

— Proszę — odrzekła po krótkim namyśle.

— Być może — mówił Urbin, idąc koło niej — że mimowolnie stałem się sprawcą niedyspozycji stryja. Miałem z nim dość drażliwą rozmowę. Czy pani się nie domyśla treści?... Z milczenia pani wnoszę, że nie tylko on jest przeciwko mnie. Panno Izo, czy i ty nie chcesz być moją żoną?

Stanęli pode drzwiami. Iza targnęła za dzwonek. Radek, który już po drzemce wstał, zdziwił się,

zobaczywszy ich razem wchodzących do salonu.

Przywitał jednak Urbina grzecznie, a córkę zapytał:

— Skąd ty wracasz, Iziu?

— Chodziłam po lekarstwo dla... ojca.

— Dla kogo?

— Dla ojca — powtórzyła z naciskiem.

Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie znacząco, a Iza na nich.

— Spotkałam na ulicy pana Urbina — mówiła dalej ze sztuczną wesołością — który mi zadał to samo pytanie, co ty, ojczy: czy przyjmę jego rękę; odpowiem wam obu: nie!

— Dlaczego? — ozwał się ponuro Urbin.

— Ha, ha, ha — zaśmiała się spazmatycznie, padając na fotel — dlatego, że to nie jest moim obowiązkiem... ha, ha, ha... dlatego, że nie chcę... dlatego... Wyobraźcie sobie, panowie — ciągnęła dalej wśród śmiechu — znalazłam dziś w pułapce mysz, która mi opowiedziała, że uciekła do nas z klubu szachistów, gdyż tam zjadła kawałek zapisanego papieru z jakiejś skrzyni, który był tak gorzki... tak gorzki... ha, ha, ha... że omal się nie otruła.

— Przyzna pani — zauważył Urbin z tłumioną złością — że była to mysz bardzo szkodna.

— Mniej od tych — odrzekła Iza — którzy zostawili tę trutkę.

Urbin skłonił się i wyszedł.

Nazajutrz klub szachistów rozwiązał się ku wielkiemu zadowoleniu wszystkich członków. W rok potem Iza została żoną człowieka, który po ślubie

okazał się tak wielkim łotrem w idealnej skórze, że wszystkie drzewa podsuwały mu swe gałęzie na szubienicę. Urbin dotąd rozmyśla i pisze ciekawe dzieło o dwoistości natury ludzkiej, a stary Radek powtarza machinalnie przy każdej sposobności:

— Źle wiedzieć i źle nie wiedzieć.

Aleksander Świętochowski
Klub szachistów

Redakcja: *Anna Ołdak*

Projekt okładki: *Jolanta Karwowska - STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA*

Copyright © for the e-book edition
by FUNDACJA FESTINALENTE 2013

Warszawa 2013

ISBN 978-83-7904-212-8

Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02-776 Warszawa



www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl